

„Podobnie jak moje koleżanki, ja też uczyłam się w czasie okupacji u p. Kazimierzy Wiernowaty, by ukończyć klasę VI i po zdaniu egzaminu wstępnego przygotować się do nauki w gimnazjum. Początkowo uczyliśmy się w Szkole w Krosnej, tu również odbywały się lekcje z Ks. dr. Kaczmarkiem i Ks. Augustynkiem. My, uczniowie 13 - 14 letni, nie zdawaliśmy sobie jeszcze sprawy z zagrożenia, bo przecież nie robiliśmy nic złego, ale uświadamialiśmy to sobie, gdy po ostrzeżeniu, że Niemcy jadą do wsi, chowaliśmy książki w piwnicy, w komórce czy na strychu w specjalnych schowkach i wraz z uczącymi uciekaliśmy w krzakach. Uczący nas różnych domów, byle jak najdalej od szkoły i każdy osobno. Uczący nas księża szli wówczas do umówionych domów, żeby „odwiedzić chorego”. W tych domach odbywały się później lekcje z różnych przedmiotów... L. S. Krosna...

„Mamo! Dziś muszę iść na Dąbki” - mówi prawie szepcąc 13-letnia G. - Idź, ale nie bierz książek, ino zeszły wóz do koszyka jarmarcznygo, to ci na wywrach wysypie łowska ło kur, dos Babce z Dabek - odpowiada Mamma - A kto popasie bydło? - niepokoju się jeszcze dziopka. - Dom Kubie dwa jolka, to popasie łod wyganiacki. Zbiyroy się, bo to daleko! - G. nie czekała dłużej, zdjęła koszyczek z żelidzi, która „od wieków” wisiała nad nalepą w kuchni, z pieca chlebowego wygarnęła pudło z zesztytami (przechowywane niby na rozpękę w piecu) i za parę chwil, po wyspaniu owsa, była gotowa.

Boso, w lekkiej sukieneczynie, z koszykiem jarmarcznyim w ręce, pędziła w Boniorzy, na Mocorzy i do Łuski w Żnińce, gdzie miały czekać Marysia, Kazia i Wanda z Końca, z Kobyleczyny. Komplet pierwszoklasistów uzupełniały: Teresa z Golej Góry, Anielka od Sałasnika, Tadek z Karczyny, Kazek Sałasnik i Florek z Jaworznej. Razem na początku 9 uczniów gimnazjalistów, którzy przed południem paśli krowy w olszynach lub na miedzach i pod krzakami zgłębiaли tajniki gramatyki: części zdania, związki wyrazów albo spisane na kartce słówka niemieckie... Innych tekstów „do bycia” nie wolno było zabierać, żeby nie zgubić lub żeby kto nie podpatrzył. Po spotkaniu u Łuski, dziewczęta rozdzielone na grupki, ruszyły ścieżkami w górę, niby na grzyby. Do Siwego szło się jeszcze ogrodami, ale na Chelm trzeba było iść kręłą górską wyboistą dróżką, pełną ostrych kamieni, poskręcanych korzeni krzaków, drzew i poprzeciną rowami kanieni, poskręcanych korzeni krzaków, drzew i poprzeciną rowami spluwającej z gór wody deszczowej. Poranione bosc stopy, „stracone” o kamienie paznokcie palców u nóg często krwawiły, ale tym się nikt nie przejmował i sam sobie radził. Płynącą krew łamowało się ziemią, pomniejszając ze ślana, która trzeba było obłożyć palec, przykryć listkami lubiła go wyciągnąć ropę i żeby ziemia nie wyschła zbyt szybko, nie okazywała się, zaraz okrócić - związać długą mocną trawą. Później, gdy „miał ci opatunek” sam spadł, rana była już przyschnięta. Tak radziło

Nagroda za trudny i niewygodny latem były poziomki, dzikie czesnie czy borówki (jagody) lub jesienią czernice (działy), które kołty pragnienie i głód, gdyż nie można było podchodzić do żadnego domu, aby nie zwracać uwagi na idących ani napotkać kogoś niepożądanego, kto śledziłby młodzież. Ponadto hasło „kto pierwszy na Dąbkach” miało swoją, jednoznacznie wymowę, zwłaszcza po założeniu przez Panią Jasię drużyny harcerskiej, w której byliśmy najmłodszym zastępcem ze swą piosenką rozpoznawczą:

„Czort nieśie po lesie skauta bez buta,  
Bo skaut ubogi, włożył trep na nogi,  
Hej laski błyskają, a trepeczki stukają,  
Hej, wesole piękne życie skauta.

Na Dąbkach, w pobliżu stodoły, oczekiwała nas babcia Nowocka wraz ze swą nieodłączną kozą, która strzegła naszego bezpieczeństwa w czasie lekcji. Kozą beczła nieustannie, gdy w pobliżu stodoły pojawiał się jakiś obcy amator grzybów czy poziomek, a babcia uczyła ją zasad grzeczności tak, głośno, aby i intruz zapamiętał, że nie wchodzi się bez pozwolenia na obce terytorium, nie straszysz spokojnych ludzi i zwierząt. Z tego dwugłosu babci i kozy oraz czasu beczenia kozy wyciągaliśmy wnioski o zagrożeniu lub o niżej niebezpieczeństwie. Latem i jesienią lekcje odbywały się w starej stodole w blasku figlarnych promyczków słońca, wpadających na boisko zygawkami poprzez dziuny słomianej strzechy, z których to zygawków wrożyliśmy sobie nastroj, powodzenie i oceny w czasie zajęć.

Za stół służyły drzwi - wrota od stodoły, położone „na krzyżakach” zbitych przez starszą grupę uczniów. Siedzieliśmy „na pnieckach” potrzebnych do ciupania galezi (nazbieranych w lesie przez babcię), by w razie najgorszej sytuacji wsunąć pod nie mapy i inne przybory. Gorzej było w czasie deszczu. Wówczas zajęcia odbywały się w największym pomieszczeniu, czyli w kuchni, która była siedzibą babci, kozy, krolików (izdebkę przystosowano na pokój dla P. Jasi). Gdy nadeszła P. Jasia lekcja rozpoczęła się przypomnieniem części mowy i zdania, jakby to była zwyczajna rozmowa o grzybach:

„Dzieci nazbierały w lesie koszy pięknych grzybów”. Poradziliśmy sobie jako tako z objaśnieniem pierwszych czterech wyrazów, lecz nasze umiejętności zawiodły przy słowie „kosz”. P. Jasia zaczęła sprawdzać językową wiedzę po kolei pytaniem: „Jaka to część zdania?” Pierwsza odpowiedź: podmiot - „nie, stanów się”. Następnie: okolicznik, przydawka... - „ależ nie, pomyślcie”. G. z wypiekami na twarzy czekała swej kolejki i niechybnej porażki. Wszystkie już poprzednio powiedzieli i było nie tak, więc co? Ah! Przebiegając szybko palcami przy wymienianiu poprzednich części zdania, których miało być pięć, myślała „przecież to nie orzeczenie, bo w tym zdaniu już było, więc... trzeba spróbować, aby tylko coś powiedzieć... dopełnienie” - powiedziała niepewnym głosem. I oto koniec zawstydzenia: usłuchał P. Jasi - to dla nas wielka radość - „Widzicie, jak chcecie, to się możecie nauczyć. Dobrze byłoby, gdybyście wspólnie